# ŚWIATŁO

**Rok IX.** Bytom G.-Szl., 1-go Lipca 1895. **Nr. 13.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste **t** 101) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.


## Gabryel Hołubek.

### SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

Teraz przecież przyglądając się z pod oka czytającej bratowej, uczuła się dziwnie wzruszoną i serdeczna litość przejęła jej duszę; na twarzy tej niebogi wypisane było wszystko, co przecierpiała oddalona od męża.

— Biedna, biedna kobieta! — powtarzała sobie Bożena w myśli. — Co ona wycierpieć musiała! A ładne to i młodziutkie... toż ona prawie jak dziecko wygląda! Miał racyę Adam, gdy pisał do mnie, że skoro poznam Ludmiłę, przebaczę mu jego krok nierozważny. Chwyta to dziewczątko za serce, jak kleszczami, i zacna być musi tak samo, jak ten brat górnik, o którym mi Adam tyle pochwał napisał. Byłam pewna, że pan rotmistrz koloryzuje, że oczarowany miłością, wszystko widzi w różowych barwach, ale widzę, że się pomyliłam; Adam prawdę pisał! Szlachetna i poczciwa twarz u tego Hołubka; a przytem jest coś w tym młodzieńcu nadzwyczajnego... czego nazwać nie umiem... Gdybym nie wiedziała, że z niskiego pochodzi stanu, wzięłabym go za szlachcica i niepospolitego rycerza.... Jest w jego obliczu i w całej postaci coś, co nakazuje szacunek...

Wtem wątek myśli panny Wisłockiej przerwało ciężkie westchnienie Ludmiły; rumieńce uciekły z jej twarzy, oczy przygasły, ręce opuszczone bezwładnie na kolana, trzymały list od męża, na który spadły dwie łzy duże, a ciężkie. Bożena zbliżyła się do zasmuconej z pieszczotą.

— Nie płacz, siostro — przemówiła słodko — wszystko się to jeszcze odmieni... Bóg taki dobry i miłosierny... Nie gniewaj się też na Adama, że jeszcze ojcu nic nie wyznał... Teraz doprawdy nie pora.... gdybyś widziała naszego sędziwego rodzica, jak strapiony tem, co się dzieje w kraju, nie dziwiłabyś się mężowi, iż jeszcze zamilczał...

— O ty źle zrozumiałaś moją boleść — zawołała pani Adamowa z ledwo dostrzegalnym odcieniem dumy — mnie właśnie dla tego serce pęka, że zamiast

szczęścia i radości, smutek i rozterkę wniosę w dom wasz, że będę powodem zgryzoty szanownego starca. Gdybym była wiedziała przed ślubem, kto rzeczywiście jestem, gdybym była znała różnicę stanów, jaka dzieli mnie od mego męża, byłabym wolała tysiąc razy umrzeć, najsroższą śmierć ponieść, niż poślubić Adama, bez wiedzy jego ojca, bez wiedzy mej opiekunki!...

— Nie mów, tak nie mów! — przerwała jej prędko Bożena, czując bezgraniczną boleść i palącą gorycz w słowach bratowej. — Stało się, nic teraz żale nie pomogą... A potem, jak mówię, z czasem ojca ułagodzimy... szczęśliwi jeszcze będziecie... Pan Bóg nam dopomoże. I moja dobra Ludko, nie miej też żalu do naszego ojca! bo widzisz... on zacny, szlachetny i dobry... ale wzrósł w takich uprzedzeniach... nie uwierzysz, jaka to siła leży w uprzedzeniu... szlachcicowi się zdaje, że ludzie innych stanów, choćby najzacniejsi, nie mogą się łączyć i bratać z nimi.

Ludka uśmiechnęła się smutnie.

— Wiem ja to przecie wszystko doskonale — rzekła — boć ś. p. opiekunka moja wychowała mię jako swoją bratankę, szlachciankę; bodaj czy nie pewną była sama, że choć dziecko nieznanych rodziców, ze szlacheckiego pochodziłam rodu. Wiem więc dobrze, co szlachta myśli o godności swego stanu, boć i ja tak samo myślałam. Ale co ci powiem Bożeno, czego ani ty nie wiesz, ani ja dawniej nie wiedziałam, gdyż dopiero tu w Olkuszu, zbliżywszy się do ludzi innych stanów, o tem się przekonałam. Oto, że mieszczanie i kmiecie są tak samo dumni na swój stan, jak szlachta, i zupełnie tak samo jak ona, nie pozwalają dzieciom łączyć się z niższymi od nich.

— Doprawdy? Tegobym się nie spodziewała!

— Ani ja; a jednak tak jest. Zaraz ci powiem przykład. Cioteczna siostra Szypełków, kolegów mego brata, pokochała poczciwego, pracowitego chłopaka, syna pewnego kmiecia, którego dziad przed laty na wojnie zabrany w niewolę, był poddanym, a on sam dopiero niezbyt dawno na czynsz przeszedł. Otóż ojciec Małgosi, jako kmieć wolny i bardzo bogaty, nie chciał żadną miarą pozwolić na małżeństwo córki z potomkiem poddanego, ale przymusił niebogę, aby poszła za bogatego sołtysa. Biedaczka ona teraz zalewa się co dzień rzewnemi łzami, nie mogąc zapomnieć ukochanego, bo serce jakoś o stan nie pyta. Ale cóż robić z pychą ludzką, która wszystkich ludzi trapi i nie pozwala człowiekowi schylić się do niższego, ale pcha go gwałtem, aby się piął do wyższych?!

— Ułomna jest zaiste natura ludzka! — mówiła w zamyśleniu Bożena. — I biada człowiekowi, który pozwoli się opanować pysze, bo to grzech ciężki i do wszelkiej zbrodni prowadzi. Ale żeby prawdę rzec, to ci powiem, Ludko, iż zawsze sądziłam, że to tylko między szlachtą trafiają się pyszni...

— Gdzie zaś! Jest-ci ona pycha w każdym stanie i w każdym człowieku, który ją do serca przyjmie i tam pielęgnuje. Źle też ci czynią, co tylko szlachtę za dumę potępiają; gdyby się w swoim stanie mieszczańskim, czy kmiecym rozpatrzyli, znaleźliby tam nieraz pychy niemało.

— Zresztą, miła siostro — wtrąciła panna Wisłocka — pycha jest zawsze co innego i duma też co innego; pycha jest zawsze szkaradnym grzechem, od którego zachowaj nas Panie! A duma zaś, byle była szlachetną, nikomu ujmy nie przynosi, ale owszem zacności człowiekowi dodaje. Wtem jeno bieda, że ludzie nie umieją rozpoznać granicy, która pychę od dumy dzieli.

— Tak ci jest, kochana Bożeno, dobrze to wywiodłaś. Człowiek ułomny i słaby, więc często przebiera miarę, przechodzi granicę i nieraz jeszcze sądzi, że słusznie postępuje. Jeszcze ci coś powiem, co się tu w samym Olkuszu stało. Syn pewnego, bogatego rajcy upodobał sobie biedne dziewczę, córkę skromnego rzemieślnika i mimo zakazu ojca poślubił umiłowaną. A dumny rajca tak sobie to wziął do serca, że

choć syn był u niego jedynakiem, przecie go wydziedziczył i przekląć nawet zamierzał, jeno nasz czcigodny pleban pohamował rozgniewanego ojca, który powtarza, że nieposłuszeństwo darowałby synowi, ale hańby, jaką okrył dom rodzinny, łącząc się z niższą stanem i majątkiem dziewczyną, nigdy jedynemu dziecku nie przebaczy. Cóż więc dziwnego, że i między szlachtą panują takie uprzedzenia? Nie mam ja też w sercu żalu do waszego czcigodnego rodzica, że pragnie za synową panny ze znakomitego domu i bogatej, któraby blasku i mienia rodzinie przyczyniała... gdy zaś ja...

Pani Adamowa nie dokończyła, bo głos jej się złamał, ale śliczna twarzyczka Bożeny jaśniała uśmiechem, gdy całując Ludkę, mówiła:

— Bóg ci zapłać! siostro kochana, za tę wyrozumiałość poczciwą dla naszego ojca! Gdy, da Bóg, porozumienie już nastąpi i rodzic przytuli cię do serca, będziesz go tak kochała i czciła, jako my go oboje z Adamem kochamy i szanujemy. A i ojciec pokocha ciebie i nie będzie się dziwił Adamowi, tak jak i ja już mu się nie dziwię, że ciebie za małżonkę wybrał, bo nietylko piękną, ale i szlachetną jesteś. Bądź więc, Ludko, dobrej myśli i rozpogódź przecie twarzyczkę, a uśmiechniej się do mnie.

Serdeczne te słowa wlały istotnie otuchę w serce Ludmiły, więc swobodniejszym już głosem i uśmiechając się, odparła:

— Daj Boże, aby się tak stało, jak mówisz... Ale co do mnie, to ja już dziś kocham sędziwego ojca mego małżonka i co dzień się za niego gorąco modlę.

— To i dobrze! — zawołała wesoło panna Wisłocka, a Ludka biorąc ją za rękę, poprowadziła do suto zastawionego stołu.

Były tam zimne mięsiwa, doskonałe ciasta, które pani Adamowa dnia poprzedniego sama upiekła, dalej grzane wino stare dające siłę i rozweselające umysł, nadto miód w plastrach, orzechy, smarzone w miodzie owoce, świeże jabłka i gruszki, których przechowaniem do tej pory ogromnie się młoda gosposia szczyciła.

— Siadajże, kochana siostro — mówiła Ludmiła, sadząc za stołem swego gościa — siadaj i pożywaj to, czem ci służyć może skromny dom górnika.

Bożena wzięła się do jedzenia ochoczo, oglądając się przecież po izbie za Gabryelem, który w tej chwili wszedł do komnaty, z bukietem świeżych fiołków i stokrotek, włożywszy kwiaty w ładny kryształowy kubek, postawił go przed Bożeną, nisko się kłaniając. Panienka uśmiechnęła się wdzięcznie, podziękowała uprzejmie i rzekła wesoło:

— Nie uciekajże waść już od nas, bo będę myślała, żeś mi nie rad w twoim domu, który mi się bardzo podoba.

— O, jaśnie wielmożna panno, honor to dla mnie niemały twoje do nas przybycie — odrzekł Gabryel ze skromną godnością — aleć nie za ten honor składam waszmość pannie pokorne dzięki, jeno za tę radość i pociechę, które przyniosłaś mej utrapionej siostrze. Za tę to dobroć twoją niech ci Bóg zapłaci i błogosławi na tem, co ci najmilsze.

Wzruszyła ta mowa Bożenę, która miała poczciwe, dobre serce, ale zarazem i ucieszyła ją szczerze, bo odezwanie się Gabryela bardzo się tej szlacheckiej pannie podobało. Spostrzegła, że brat Ludki to nie prostak zarozumiały, ale młodzieniec skromny, poważny, umiejący się szanować. Chcąc go poznać jeszcze lepiej, jedząc prowadziła ożywioną rozmowę, zadając młodemu górnikowi różne pytania, na które on dawał rozumne i dowcipne odpowiedzi, aż w końcu sam spytał:

— Nie wezmie za złe mej śmiałości, wielmożna panna, gdy się zapytam o nowiny i wieści, jakie czcigodny pan rodzic jej przywiózł niewątpliwie z Warszawy? Różne nas tu posłuchy dochodzą, wszelako nie wszystkiemu godzi się wierzyć, co ludzie prawią. A okrutniešmy oboje z moją panią siostrą ciekawi,

co się w kraju dzieje i radzibyśmy szczerą prawdę wiedzieć.

— Bardzo chętnie dogodzę waćpaństwu i opowiem wszystko, co wiem od rodzica — odparła uprzejmie Bożena i nuż opowiadać o tem, co się na sejmie przygodziło, a co my już wiemy, jak to Zborowscy, opanowawszy obrady przeprowadzili niecne postanowienia, krzywdzące kanclerza, nieboszczyka króla, lud ubogi, i depcące prawa, a w końcu tak mówiła:

— Nieodżałowanej pamięci król nasz Stefan Batory nie napróżno przestrzegał Polaków przed nieszczęsnem obieraniem królów; oto jeszcze dwa miesiące do elekcyi, a w całej Polsce wre, jak w garnku z ukropem. Panowie Zborowscy zbierają liczne wojsko, gromadzą najemne pułki niemieckie, czeskie, francuskie włoskie i mają już dziesięć tysięcy żołnierza; nawet pan Krzysztof Zborowski, wyrokiem sejmowym z kraju wygnany, wrócił do Polski i z wdzięczności, że w Niemczech znalazł przytułek, chce, wraz z braćmi i stronnikami, osadzić na tronie polskim Maksymiliana, arcyksięcia austryackiego, syna cesarza niemieckiego. Niektórzy ze szlachty są za obraniem Piasta, to jest którego z możnych panów polskich, inni znowu mają na myśli cara moskiewskiego, Fedora, któremu snać chce się gwałtem korony polskiej, bo jak słychać zabiegów i starań nie szczędzi, a w obietnicach jest okrutnie szczodry; obiecuje, że zaprzysięże wszystkie swobody Polakom i moc innych rzeczy, aleć mu nie bardzo wierzą i pewnie nie wielu się zgodzi na takiego barbarzyńcę. A znowu królowa Anna, wdowa po Batorym, popiera i na króla szlachcie zaleca swojego siostrzeńca, królewicza szwedzkiego Zygmunta. Wielu najznakomitszych senatorów i najzacniejszych obywateli jest za nim, bo że to Zygmunt po matce od Jagiellonów, tak przez Polaków umiłowanych, pochodzi i jest ich ostatnim potomkiem, matka jego Katarzyna Jagiellonka była, jak waćpaństwu wiadomo, córką Zygmunta I Starego, a siostrą Zygmunta Augusta i królowej Anny. I to Polaków za serce chwyta, że królewicz Zygmunt, choć wychowany w Szwecyi, kraju protestanckim, jest katolikiem a ślicznie mówi po polsku, bo matka Katarzyna, lubo poślubiła króla szwedzkiego Jana protestanta, przecie synowi zachowała te dwa najdroższe skarby człowieka: wiarę św. i język ojczysty.

— A hetman wielki Zamojski kogo popiera? — zapytała Ludka.

— Pewnie się zgodzi na Zygmunta, gdy będzie widział większość po jego stronie. Wojsko też hetman zbiera i pięć tysięcy najdzielniejszych wojowników Batorowych przy kanclerzu stoi.

— Boże miłosierny! Toć to jeszcze wojna domowa wybuchnąć gotowa?! Czy co? — zawołał Gabryel przerażony.

— Mój ojciec na pewno ją przepowiada — odrzekła panna Wisłocka. — I Bóg wie, jaki będzie tej wojny skutek. Zborowscy najsilniejsi, dufni w swoje zaciężne żołdactwo, nie ustąpią, choćby mieli Ojczyznę krwią oblać; a Zamojski ma tylko połowę tyle wojska co oni... Do wielkich nieszczęść przyjść może...

Gabryel zasłonił ręką oczy.

— Ach! serce ustaje w piersi — rzekł z boleścią — kiedy człowiek pomyśli, na co to miła Ojczyzna, matka będzie narażona! Czyliż wrogowie nie skorzystają, gdy się tu Polacy kłócić i bić będą? Tę rękę dałbym sobie odrąbać, żeby do wojny nie przyszło!

Bożenę ździwiły nieco, ale i rozrzewniły te poczciwe słowa, więc żywo spytała:

— Także to gorąco waćpan kochasz naszą ziemię rodzinną? Jakże to pięknie z jego strony.

— Czy ją kocham? — zawołał z zapałem młody górnik. — O, mościa panno! nigdy ja nie wypowiem, jak mi jest drogą Ojczyzna! Po Bogu nic tak nie miłuję gorąco, jak tę ziemię, żywicielkę, jej wody, góry i lasy; to polskie niebo nad głową, język mój polski, kochany, w którym Boga chwalę i słyszę opowiadane słowo Boże, całe moje serce

przylgnęło do naszych starych zwyczai i pamiątek narodowych; a wszystkich Polaków, którzy jeden język, jednę wiarę św. ze mną mają, mniejsza do jakich należą stanów, kocham serdecznie, boć każdy Polak, pan czy szlachcic, chłop było, że mówi wszystko z głębi duszy, z najszczerszego przekonania, z gorącości serca; panna Wisłocka zaś słuchała z widoczną radością.

— Rycerzem powinieneś waść być, panie Gabryelu! — zawołała. — Szkoda



**Ksiądz Ignacy Polkowski.** (Obacz objaśn. rycin na str. 208).

czy mieszczanin, to przecie mój rodak, mój brat! To też dla dobra powszechnego, dla matki Ojczyzny oddałbym mienie, siły, krew, a nawet życie z radością położył!

Oczy Ludki jaśniały rozkoszą i dumą, gdy brat jej tak mówił, bo znać cię wielka do mozolnej, w głębi ziemi pracy!

— Wola to ś. p. rodzica, mościa panno, nie moja! Gdybym tylko szedł za własnem sercem i upodobaniem, już dawno byłbym żołnierzem! Ale ś. p. ojciec mój inaczej patrzał na tę sprawę.

Gdym raz, jako małe chłopię, powiedział, że skoro urosnę, zostanę rycerzem, rodzic mój, Panie, daj mu niebo! tak mi powiedział:

— Widzisz, synu kochany, porządek na tym świecie i różne stany sam Bóg ustanowił; jednych tedy wezwał do pracy na roli, drugich pod ziemię, innych postawił nad wagą lub przy warsztacie; jednego postanowił królem, większej liczbie przeznaczył stan senatorski, a szlachtę i rycerzy na to stworzył, aby Ojczyzny i pracujących braci bronili przed wrogami. Ale wierz mi, kochany synu, że w obec Boga i rozumnych ludzi, pot przy uczciwej pracy wylany, warcien jest krwi przelanej w obronie kraju i rodaków. Od wielu lat zawsze jeden z Hołubków był górnikiem, gwarkiem przez towarzyszy obierany, więc i ty synu górnikiem będziesz, nie potrzebujesz też zazdrościć rycerstwu, ani żadnemu innemu stanowi, bo w każdym można być cnotliwym, a to człowiekowi najpotrzebniejsze.

— Mądry to był człowiek ś. p. ojciec waćpana i wiele jest prawdy w jego słowach — mówi Bożena. — Aleć żeby zawsze syn miał być tem, czem był jego ojciec, a nie chwytał się pracy, do jakiej czuje ochotę, toby to była przykra niewola i ani pojedyńczym ludziom, ani całemu narodowi nie wyszłoby na dobre.....

— Pewnie, że tak jest. Wszelako mnie się widzi, że gdyby ś. p. rodzic nasz nie był zmarł tak rychło, to widząc we mnie stateczną ochotę do żołnierki, nie byłby mnie niewolił do górnictwa. Ale tak myślę, że ojciec moje pragnienie rycerskiego stanu, brał za dziecinną zachciankę, a nie za prawdziwe powołanie; ile że trzynastoletnim chłopaczkiem byłem, gdy rodzic opuścił tę ziemię.

— I ja tak mniemam — potwierdziła panna Wisłocka — bo ze wszystkiego, co o zacnym ojcu waszym słyszę, nie trudno odgadnąć, że był zbyt rozumny, aby miał dziecko przymuszać do stanu, do którego go Bóg nie przeznaczył.

— To też muszę dodać — podjął znowu Gabryel — co mi ojciec innym razem rzekł, gdy była mowa o strasznym napadzie Tatarów na Polskę.

— Każdy człowiek powinien patrzeć pilnie obowiązków swego stanu — mówił mój ojciec — bo to jego powinność święta. Wszelako, gdy takie się zdarzy nieszczęście, jak ów napad Tatarstwa, gdy srogi nieprzyjaciel depce matkę Ojczyznę, a rycerzy za mało, aby ją bronili, wtedy każdy Polak powinien stać się rycerzem, każdy porzuciwszy pracę i mienie powinien nieść krew i życie w ofierze rodzinnej ziemi. Gdyby więc kiedy, co nie daj Boże! przyszła taka ciężka na Polskę godzina, wtedy porzuć, synu oskard, przemień się w żołnierza, bierz miecz i dalej na wroga.

— Tak powiedział ś. p. drogi nasz ojciec — kończył Hołubek — a ja słowa jego zawsze mam w pamięci i broń Boże! nieszczęścia na Ojczyznę, choćem nie rycerz, nie szlachcic, stanąłbym w jej obronie.

— O, waćpan wnetbyś szlachcicem został — rzekła Bożena serdecznie — jako już dziś szlachcicem jesteś duszą i sercem! Dumną być możesz, Ludko, z takiego brata.... zacniejszego i między rycerstwem nie łatwoby znaleść!

Tu panna Wisłocka wyciągnęła rękę do Gabryela, którą on z uszanowaniem, leciutko do ust przycisnął, rumieniąc się przytem, jak panienka, poczem szepnął:

— Bóg patrzy na serce moje, że nie dla chwalby to powiedziałem i nie dla zdobycia honorów, lub szlachectwa chciałbym krew wylać za Polskę.

— O, bardzo wierzę waćpanu — żywo zawołała Bożena — bo za piękną masz duszę, abyś zaś chciał dla próżnej chwały coś uczynić! O to nikt waść nie posądzi.... Ale mnie się tu dobrze gawędzi z waćpaństwem — dodała powstając — a w domu stary ojciec niezdrów, wyczekuje mego powrotu. Ta to choroba rodzica była powodem, że dziś dopiero tu przybyłam. Ale, da Bóg, że pan ojciec wyzdrowieje i na elekcye do Warszawy pojedzie, tedy się znowu do Olkusza wybiorę do Spowie-

dzi św., jak to i dziś uczyniłam, i znowu was odwiedzę, kochana bratowo.

Zaczęto się żegnać; panna Wisłocka uścisnęła serdecznie Ludmiłę, podała raz jeszcze rękę Gabryelowi, i w towarzystwie jednej sługi, z którą tu przybyła, udała sią do zajazdu, gdzie czekała na nią piękna kolasa, w cztery dzielne zaprzężona rumaki.

Gdy rodzeństwo zostało nareszcie samo, zawołała pani Adamowa z błyskiem szczęścia w oczach:

— Ach! drogi bracie, jaka ja ucieszona i rada! Zdaje mi się, że tak jak siostra mego męża, tak i jego ojciec pogodzi się ze mną lichem stworzeniem!

— Dałby to Bóg, dałby to Bóg! — powtórzył Gabryel. — Niczego tak nie pragnę, jak właśnie, aby się tak stało... Bóg dobry sprawi, że szczęśliwi będziecie.... i ja z wami.

— Ale jakże dobrą i piękną jest ta Bożena! — ozwała się znowu Ludka — Boże mój! myślałam, że jaka niebianka zeszła na ziemię! Istna posłanniczka szczęścia i radości!

— Tak piękną jest jak gwiazda, która wysoko na niebie świeci — szepnął młody górnik cichym głosem, więcej do siebie niż do siostry — a choć tak oddalona i niedościgła, przecie piękność jej i blask cieszy każdego, kto miał szczęście ją ujrzeć.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# SKĄPSTWO UKARANE.

Pewnego handlarza skąpstwo opętało;
Nigdy nie był kontent, zawsze miał za [mało,
A chociaż pieniędzy dość sporo posiadał,
Chętniej u znajomych i pijał i jadał.

Raz w mieście miał spłacać jakieś ważne raty,
Dla tego wiózł w worku złociste dukaty,
Lecz je zgubił w drodze mimo ostrożności.
Jakże się więc gniewa, unosi i złości!...
Ten, co dla pieniędzy nieraz cześć postradał,
W jakiemż uniesieniu przeklinał i biadał,
To się też opisać w żaden sposób nie da.
Cóż tedy ma czynić, kiedy taka bieda?
Worek iście przepadł, szuka go więc wszędzie,
Ale nadaremnie; wszak go ktoś mieć będzie?
Wpadł na smutny pomysł, by ogłosić w mie- [ście,
Że znalazcy zaraz da dukatów dwieście,
Gdy mu zwróci worek... Lecz jakież zmartwienie
Musiało go przejąć, dając przyrzeczenie?...
A dodać potrzeba, że skąpiec zgryziony
Ukrył, ile worek zawierał zgubiony?

Wtem zgłosił się młodzian biedny, lecz szlachetny,
Co się trwożył i sromał na każdy czyn szpetny;
Nie chciał zatem złota zostawić dla siebie,
Choć właśnie żył biedak w dotkliwej potrzebie.
Rzekł: »Oto dukaty! Są w tym samym stanie,
A teraz się spodziewam, że z nich dwieście, [panie,
Według obietnicy dasz mi znaleźnego;
Potrzebuję bardzo do wyżycia mego«...
Czyż serce handlarza radością zadrgało?
O, nie! ono dawno jak głaz skamieniało.
Chcąc wszystkie dukaty bez szwanku ocalić,
Więc zamiast młodzieńca uczciwość pochwalić,
Zaczął go przezywać, łajać, szerzyć krzyki,
Iż ludzie myśleli, że to człowiek dziki.
»I tobie nagroda, ha, dwieście dukatów, [tów,
Tobie« wrzeszczał »tobie dwieście wyciąć ba-
Tyś mnie podszedł, okradł; mnie brakuje złota,
A prawie sztuk dwieście... I to twoja cnota?
Oświadczam, że było tysiąc dwieście w worze,
A teraz jest tysiąc, czy się mylę może?«

Młodzieniec szlachetną zemstą uniesiony,
Na skargę do sądu pospiesza zmartwiony.
Sędzia, człek uczciwy, rozsądny i prawy,
Bada najdokładniej przebieg całej sprawy;
Nareszcie handlarza do siebie przyzywa.
»Jaka była kwota w worku, lecz prawdziwa?«
»Tysiąc dwieście« powie i przysięgę składa.
»Ileś znalazł w worku?« sędzia dalej bada.
»Bóg świadkiem mej duszy.... tysiąc« młodzian rzecze.
»Dobrze,« powie sędzia, »zatem mój człowiecze
Zostawcie ten worek... do was nie należy;
W nim jest tylko tysiąc; młodzieniec grabieży
Nie popełnił wcale, przy nim więc zostanie,
A wy poszukajcie waszego, mój panie!«

**Józef Chmielewski.**



**WYGNAŃCY.** (Obacz artykuł na str. 202.)

# Z DZIEJÓW KOŚCIOŁA.

## Święty Ambroży.

W czasie, kiedy św. Atanazy Bazyli, Grzegórz Nazyazeński byli filarami i światłem Kościoła na wschodzie, zesłał Bóg i na zachodzie mężów świętych i dzielnych, którzy dali świadectwo wierze, bronili wiary, wyjaśniali naukę wiary. Takim mężem był Ambroży, arcybiskup medyolański.

Kiedy namiestnikowi rzymskiemu, rządzącemu w części dzisiajszej Francyi, a mieszkającemu w Trewirze, urodził się synek, nikt nie myślał, że z niego będzie kiedyś ozdoba Kościoła. Życie Ambrożego z początku też tego nie wskazywało. Po śmierci ojca Ambroży udał się z matką i rodzeństwem do Rzymu, aby zostać prawnikiem, jak to było zwyczajem większej części zamożnych młodzieńców. Kiedy skończył nauki, został adwokatem w Medyolanie, i tak się odznaczył w tym stanie, że został przyjęty do senatu, do najwyższej rady państwa. Cesarz zrobił go nawet namiestnikiem Włoch górnych. Ambroży był mężem nie tylko zdatnym i utalentowanym, lecz zarazem cnotliwym i obyczajów czystych, oddany kościołowi katolickiemu, chociaż nie był jeszcze nawet ochrzconym.

W owych czasach walczyli chrześcianie z sektą Aryusza, którego zwolennicy zwali się Aryanami. Kiedy roku 374 umarł biskup aryański, zebrali się katolicy i Aryanie z biskupami prowincyi w kościele według ówczesnego zwyczaju, aby wybrać biskupa. Nie mogli się naturalnie zgodzić Aryanie z katolikami, i byłoby przyszło o mało do bójki. Zjawił się jednak w sam czas Ambroży jako urzędnik, aby utrzymać spokój i pogodzić powaśnionych. Naraz zawołało dziecko, które też było w kościele: »Ambroży jest biskupem«. Wszystko się zdziwiło, a uznając w głosie dziecka wolę bożą, zawołał lud, katolicy i Aryanie: Ambroży niech będzie biskupem. Ambroży przestraszony uciekł z kościoła. Lud jednak obstawał jednomyślnie przy tem, co powiedział i żądał wytrwale, aby Ambroży przyjął wybór.

Lecz Ambroży był zupełnie innego zdania. Chociaż nie był jeszcze ochrzcony, znał dobrze obowiązki i odpowiedzialność biskupa, i niechciał przyjąć takiego ciężaru. Dla tego nie tylko nie przyjął urzędu, lecz zrobił rzeczy, które rzucały na niego podejrzenie, że jest złym człowiekiem. Lecz zbyt dobrze go znano. W końcu chciał nawet uciec, lecz lud czuwał przy bramach miasta, aby się nie wymknął. Posłano do cesarza Walentyniana i uwiadomiono go o wyborze. Cesarz bardzo się ucieszył z tego i chętnie przyzwolił, bo i on uważał to jako Opatrzność boską, że katolicy i Aryanie zgodzili się na jedno. Tymczasem Ambroży jednak zdołał uciec i ukrył na wsi u przyjaciela. Wtedy nowy namiestnik włoski publicznie kazał ogłosić, że ciężko będzie karany ten, kto zatai, gdzie się Ambroży znajduje. Dla tego przyjaciel musiał wydać Ambrożego. Znowu go sprowadzono do Medyolanu, i teraz już dłużej się nie opierał woli gminy. Przyjął chrzest św. i w tydzień potem został wyświęcony na biskupa. Skoro się dowiedziano o wyborze ucieszyli się wszyscy biskupi wschodni i zachodni. Ambroży miał wtenczas około trzydziestu i czterech lat.

Przy poświęceniu nowego biskupa był obecnym cesarz Walentynian. Głośno chwalił Boga i uważał sobie za zaszczyt, że ten, któremu powierzył pieczę okazał się godnym o ciała, teraz okazał się godnym pieczy nad duszami. Zarazem prosił cesarz Ambrożego, aby według prawa boskiego leczył duszę swoją i innych z grzechów. Było to naonczas rzeczywiście bardzo potrzebnem. Aryanie mieli wielkie wpływy, tem większe, bo nawet cesarzowa Justyna była Arynką i wszelkimi sposobami starała się o to, aby i cesarz popierał Aryanów.

Ambroży spełnił całkowicie nadzieje, jakie w nim pokładano. Zaniechał całkiem sposobu życia, do jakiego był przyzwyczajony jako namiestnik i wysoki pan, i wypełniał obowiązki swoje biskupie. Cały majątek rozdał pomiędzy ubogich, a złoto i srebro jakie posiadał, Kościołowi. Z wielką pilnością badał pismo św. i księgi nauczycieli Kościoła. Uczył się, aby mógł nauczać jako biskup. Codziennie odprawiał mszą św. i miewał kazania co Niedzielę. Najwięcej wiernych dziwiło to, że biskup prowadził życie bardzo surowe. Pościł codziennie aż do wieczora, z wyjątkiem Soboty i Niedzieli i dni świętych męczenników, w których miernie się posilał. Na ucztach nigdy się nie pokazywał, ponieważ przy takiej sposobności nieraz próżne słowo usłyszeć można, na które nieraz trzebaby uszy zatykać. Kto sam jest miernym, zachęca do mierności drugich. Dla tego zakazał i kapłanom, aby nie chodzili na uczty. Jeżeli czasem zaprosił do siebie Ambroży panów, to tylko dla tego, aby ich pozyskać dla spraw duchowych. Mało sypiał, ponieważ czuwał przez wielką część nocy, aby wykonać swe prace należycie i na czas bez pomocy innych. To było dla niego tem więcej koniecznem, ponieważ we dnie zawsze miał pełno ludzi wokoło siebie, którzy u niego szukali rady i pomocy, a w każdej porze drzwi u niego były dla każdego otwarte. Wielka liczba listów, jaka pozostała po Ambrożym świadczy nie tylko, że wielu z nim stało w związku, lecz i o tem, że obchodziły go wszelkie sprawy Kościoła w owych czasach. Pisał listy do cesarza i wysokich urzędników, do kościołów i pojedyńczych biskupów. Nawet aż do Azyi pisywał, jak się pokazuje z odpowiedzi Bazylego, biskupa Cezarei w Kapadocyi. W liście tym Bazyli wyraża swą serdeczną radość z powodu wyboru biskupa w Medyolanie, że Ambroży wysokiego rodu, doświadczony w interesach, obdarzony wielką wymową, pogardził dostojnościami świata, aby zyskać Chrystusa. A więc, mężu Boży, pisze Bazyli, ponieważ nie otrzymałeś ewangelii od ludzi, lecz od Boga samego, który cię wybrał z pomiędzy sędziów tego świata, aby cię wynieść na stolicę Apostołów; walcz dobrą walką, sposób dobre leki, jeżeli trucizna aryańska kogo zaraziła, leki na choroby ludu, pisuj często listy do mnie ku utrzymaniu wiecznej pomiędzy nami przyjaźni.

# WYGNAŃCY.

Spojrzmy na rycinę (str. 200). Widzimy na niej gromadę mężczyzn. Twarze ich wyrażają głęboką boleść, połączoną z jakąś cichą rezygnacyą. Tylko jeden z nich leży u nóg konającej niewiasty, przykrywając dłońmi twarz. Nie uchylajmy tych dłoni, bo ujrzymy na twarzy rozpacz człowieka znękanego, złamanego duchowo i cieleśnie, któremu dotąd na tym padole płaczu umierająca niewiasta była jedyną pociechą, osłodą. Serce mu z żalu pęka, bo ma ją teraz utracić. Któż jest ta kobieta? To żona klęczącego. On jej mężem — a któż oni wszyscy? Wygnańcy — wygnańcy polityczni, ofiary srogości Moskali — ofiary roku 1863, kiedy to nieszczęśliwe powstanie braci naszych zawiodło albo na szubienicę, albo też w odwieczne lody sybirskie, gdzie wśród największych niewygód, trapieni duchowo i cieleśnie przez nielitośnych, nieludzkich, nawpół barbarzyńskich urzędników moskiewskich wiedli życie najgorszych tułaczy. Rzadko z nich który powrócił ztamtąd, a jeśli powrócił, to jako człowiek, po większej części niezdolny do żadnej pracy.

Okropne było i jest dzisiaj położenie Polaków w Królestwie Polskiem, na Litwie i na Rusi. Czytamy bezustannie, jak znęcają się Moskale nad nieszczęśliwymi Unitami, których pragną gwałtem zmusić do przyjęcia prawosławia. Zabraniają księżom pod karą zesłania na wygnanie udzielać dzieciom chrztu świętego. Nie wolno Unicie pokazać się na nabożeństwie w kościele katolickim, a niech który się tam pokaże, czeka go wygnanie, po większej części Sybir. Czytając o bezustannych okrucieństwach, jakich się urzędnicy moskiewscy na Polakach, Litwinach i Rusinach-Unitach dopuszczają, trzeba sobie w

końcu powiedzieć, że ten naród chyba słowiańskim narodem nazywać się nie może, narodem cywilizowanym, do którego zaliczamy się my Polacy, Czesi, Serbowie, Bułgarzy i inne narody. To dzicz prawdziwie azyatycka, która nie ma uczucia litości, która nie łagodnością, ale gwałtem, siłą brutalną pragnie przywiązać do siebie podbite narody. Jawny tego przykład mamy na zajściach w Krożach. Każdy gubernator — zarządzca prowincyi — ma tam władzę nieograniczoną, jest niejako panem życia i śmierci, wolno mu do dziś dnia wysyłać ludzi na Sybir bez zezwolenia cara, »w drodze administracyjnej.« Przywilej ten wyzyskują ci »królicy« w całej pełni. Dość przytoczyć tu takich Murawiewów, Kaufmanów, Hurków, Orzewskich. Osławiony Murawiew przysłany na Litwę przez cara dla stłumienia powstania, wieszał ludzi niejednokrotnie niewinnych, jedynie dla tego, że ich podejrzywał o udział w powstaniu. Był to taki okrutnik, że nawet Moskale nadali mu przydomek »Wieszatiela.« Tysiące ludzi skazał na wygnanie na Sybir. Najdrobniejsze podejrzenie wystarczyło, aby człowieka na całe życie uczynić nieszczęśliwym, oderwać go od ukochanych, od krewnych, przyjaciół, znajomych, z objęć najdroższej żony i dzieci i wysłać w zimne, mroźne strony syberyjskie, zkąd najczęściej nie powracał. Umyślnie zastawiano sidła na porządnych obywateli, aby ich wysyłać na Sybir, a następnie majątki ich zabierać. Gdy chciano zgubić obywatela, na którego nie mogli Moskale wymyślić żadnego podejrzenia, posyłano doń żołnierzy lub szpiegów, którzy udawając zbiegów wojskowych, prosili o nocleg lub o poparcie. Jeżeli obywatel udzielił im jakiejkolwiek pomocy, to udani zbiedzy świadczyli im to w oczy i biedaka wysłano na Sybir.

Tak bywało w roku 1831, tak w latach 1863 i 1864, gdzie nawet oficerowie przebierali się za powstańców i zbiegów. Czy to nie podłe, nie nikczemne? To jednak jest jeden dobry szczegół z wiązki okropności moskiewskich. Cały naród był wtedy niepewien jutra, obstawiony ze wszystkich stron żandarmami i szpiegami, których wszędzie pełno było. Podsuwano niejednokrotnie niczego się nie domyślającym młodzieńcom niedozwolone druki, aby takowe potem u nich znaleść, oderwać ich z łona ukochanych i kochających rodziców, płaczącego ojca i rozpaczającej matki i wysłać na Sybir.

W roku 1884 uwięziono w Odesie 18-letnią Maryę Kałużnaję, córkę tamtejszego kupca, podejrzaną o stósunki z rewolucyonistami. Zamknięto ją w osobnej celi, gdzie nie miała sposobności niczem czasu jakoś skrócić; w około panowała rażąca cisza. Nie miała nic, coby jej oko mogło zająć. Pozostawiono ją w tem więzieniu tygodnie, żeby ją złamać na duchu i ciele i w ten sposób zmusić do zeznań, któreby potępiły rozmaitych jej znajomych rewolucyonistów. Dziewicy tej nic jednak nie zdołało odebrać odwagi. Używano rozmaitych podstępów, ażeby wydobyć z niej zeznanie, ale napróżno. W końcu pułkownik żandarmeryi wpadł na szatański pomysł. Pozbierał rozmaite wiadomości o rewolucyonistach, jakich mu szpiedzy dostarczyli i przedłożył takowe niczego niedomyślającej się Kałużnaji z nadmienieniem, że to są zeznania jej znajomych. Nie ma teraz zatem czego się zapierać, owszem radziłby jej, aby wreszcie powiedziała to, co wie o rewolucyonistach. Nie żąda niczego więcej od niej, jak potwierdzenia zeznań nieszczęśliwych. Radzi jej jak ojciec, żeby to uczyniła. Nie zdradzi tem nikogo, a sama uwolni się z więzienia, bo przeciwko niej nie ma nic obciążającego. Kałużnaja uwierzyła i dała przed prokuratorem obszerne zeznanie w tej myśli, że powtarza tylko to, co towarzysze zeznali. Jak gorzko miała się zawieść. Wśród procesu, jaki ostatnim wytoczono, pokazało się, że żaden z nich zeznania żadnego nie złożył, że to, co jej pułkownik odczytał, to były tylko przypuszczenia, wiadomości, zebrane przez szpiegów. Można sobie wyobrazić, jak to musiało okropnie podziałać na zacną dziewczynę. Musiała teraz patrzeć, jak na mocy jej zeznania skazywano jej przyjaciół do dwudziestoletnich ciężkich robót w Sybirze. Zdawało się jej, że zdradziła bezczelnie swych przyjaciół, żeby swoje życie ocalić. Takie jej sumienie robiło wyrzuty, że przypuszczano, iż albo sobie życie odbierze, albo dostanie pomięszania zmysłów. Ale stało się inaczej. Zanadto silnej była woli, aby upaść na duchu. Postanowiła podzielić los swych przyjaciół. Kupiła sobie rewolwer, udała się do pułkownika Katanskiego i strzeliła do niego. Kula jednak lekko go tylko zraniła; to jednak wystarczyło, żeby Kałużnaję skazać za usiłowane morderstwo na 20 lat ciężkich robót na Sybirze. Stało się więc zadość jej życzeniu.

Jeszcze jeden przykład sposobu, jakiego Moskale używają dla wydobycia zeznania z obwinionych. Sprowadzają rodziców, staruszków i bez ogródki oświadczają im, że »syn na powrozie podyńda w powietrzu«, jeśli nie przyzna się do winy, lub jeśli nie da zeznań w sprawie współwinnych. Przerażeni rodzice biegną do celi syna, rzucają się przed nim na kolana i zaklinają go, aby powiedział, co wie, choćby tylko przez wzgląd na ich starość itd. itd. Młodzieniec zgnębiony już i tak na ciele i duchu przez długie częstokroć więzienie pozwala się czasem zmiękczyć i przystępuje do zeznań, których potem całe życie może żałuje. Urzędnicy z umysłu przerażają rodziców wieścią o powieszeniu syna. Wiedzą dobrze, że młodzieniec nietylko nie

może zostać powieszony, bo niczego nie zbroił, ale, że niema nawet najmniejszych dowodów jakiejkolwiek jego winy. Chodzi im o to, aby wydobyć przez rodziców z syna coś, coby mogło rzucić jakiekolwiek podejrzenie na kogoś, coś, co niema żadnego znaczenia, ale władzom na coś przydać się może.

Amerykanin Kennan, któremu dozwolono zwiedzić niektóre więzienia rosyjskie opowiada w swych pamiętnikach, że nieraz trzymają winnych i niewinnych po trzy i cztery lata w więzieniu, zanim proces się skończy i zanim, albo więźnia jako niewinnego uwolnią — co się rzadko zdarzy — albo też wyślą na Sybir. Niejeden, zwłaszcza słabszej natury, dostaje pomięszania zmysłów, — bo czyż to nie okropność, trzymać człowieka sam na sam w więzieniu tak długo bez żadnego zatrudnienia, pozostawionego myślom własnym, dręczonego przytem niepewnością o swą przyszłość, o swą rodzinę, najbliższych sercu swemu? Niejeden odebrał sobie w ten sposób życie z rozpaczy. Przenosił śmierć nad swe nieznośne położenie. Więzienia są zaś tak okropne, że zdarzały się wypadki, iż niejeden prosił, aby go lepiej powieszono, aniżeli skazywano na więzienie. Niejeden zaś rzuca się umyślnie na władze więzienne, bo wie, że za to go czeka śmierć, czy to przez powieszenie, czy też zastrzelenie.

Następujący przykład pokazuje dobitnie, w jak nieludzki sposób postępują sobie z uwięzionymi.

W roku 1883 miano wysłać na Sybir oddział przestępców politycznych. Komendant jednak po naradzie z lekarzem oświadczył, że większość wygnańców tak jest osłabioną, że nawet trzydniowej podróży niezdolną będzie odbyć. Przeszło połowa nie może o własnych siłach podnieść się nawet, a oficer, który ma oddziałem dowodzić, nie chce brać odpowiedzialności za wypadki śmierci, jakie w drodze zajść mogą. Postanowiono zatem wstrzymać tymczasem pochód. 22 więźniów, pomiędzy nimi 6 kobiet, pomieszczono w zdrowszych celach więzienia, aby przyszli do siebie. Pomiędzy nimi znajdowało się sześciu z silnie rozwiniętemi suchotami, a dwunastu tak było osłabionych, że ani chodzić, ani nawet na nogach stać nie mogli. Musiano ich wozem przewieść do owych celek. Poruszające się te cienie ludzkie oddano w opiekę lekarzowi, który kazał wszystkich lepiej odżywiać i który po trzech miesiącach oświadczył, że wszyscy z wyjątkiem dwóch tak dalece wyzdrowieli, że mogą wyruszyć na Sybir. Dwóch z tych »wyzdrowiałych« nie wyleczyło się jeszcze z szkorbutu, reszta również zaledwie była zdolną się poruszać, ale to nie przeszkadzało twierdzić urzędnikom moskiewskim, że wszyscy zdolni są odbyć drogę, wynoszącą około 75 mil.

To jest pobieżny rys prześladowań więźniów politycznych. Tak znęcano się nad naszymi powstańcami, tak dziś jeszcze znęcają się nad podejrzanymi o jakiekolwiek niebezpieczne dla całości państwa rosyjskiego zamiary. Tak postępuje naród, który pragnie rozciągnąć »opiekuńcze swe skrzydła« nad wszystkimi Słowianami, aby im było »błogo« pod »ojcowskimi rządami« cara moskiewskiego.

# W WALCE Z ROZPASANYM ŻYWIOŁEM.

(Dokończenie).

Będzie nas niosła jak najlepiej — ozwał się Giacomo wesoło. — Patrzcie jak mało zanurza się w wodę. Trudno tylko będzie nią kierować.

Zaczął się oglądać i pochwycił dwie żerdzi płynące właśnie w naszą stronę.

— Otóż mamy i wiosła! Ojciec stanie na tyle, a ja na przodzie. Damy sobie radę z łatwością. Woda nie głębsza nad trzy metry. Prędzej, prędzej na tratwę, nie traćmy ani chwili czasu!

Biedna Babetta usiłowała uśmiechnąć się. Otuliła szalem Marynię: dziecko się przebudziło i wylękłe, zachowywało milczenie, przerywane głębokiemi westchnieniami. Postawiłem stołek przy oknie i pomogłem Babecie dostać się na tratwę.

Woda zaczęła wdzierać się do izby, nogi nasze już były zmoczone. Stanąłem na tratwie ostatni i odwiązałem linę. Prąd trzymał nas ciągle przy murze: potrzeba było niezmiernej ostrożności i wysileń, by się oddalić od budynku.

Powoli mgły się rozpierzchły. Gwiazdy były jeszcze przysunięte: księżyc, jak gdyby na skraju widnokręgu, rozpościerał światło podobne do mglistej jutrzenki.

Powódź przedstawiała się nam teraz w całej swojej okropności wspaniałej. Cała dolina zamieniła się w rzekę. Od

jednego wzgórza do drugiego, pomiędzy czarnemi masami gruntów uprawnych, Adyga przewijała się wstęgą szeroką; jedna zdając się żyć pośród otaczającej ją martwoty, odzywała się śród ogólnego milczenia, zachowując nawet w szaleństwie swojem królewski jakiś majestat. Tu i owdzie wynurzały się z jej łona kępy drzew, rozproszone jak czarne plamy na bladem tle dywanu. Rozpoznałem przed nami wierzchołki dębów, którymi wysadzona była aleja. Prąd wody unosił nas ku ich koronom, z których każda mogła się dla nas stać śmiertelną zasadzką. Naokoło tratwy płynęły różne szczątki: odłamy drzewa, opróżnione beczki, snopy zboża i tratwy; rzeka, pastwiąc się, wlokła za sobą ofiary swego gniewu!

Na lewo dostrzegliśmy światła w miasteczku, migocące tu i owdzie śród ciemności; wszystkie poniżej położone grunta były zalane. Nadzieja pomocy zakołatała nam w sercu. Śledziliśmy każdy połysk odbijający się w wodzie. Co chwila zdawało nam się, że usłyszymy plusk wioseł.

Puściliśmy się na los szczęścia. Zaledwie tratwa znalazła się na środku strumienia, porwana w przepaściste łono rzeki, nową przejęci trwogą, zaczęliśmy prawie żałować, żeśmy dom opuścili. Zwróciwszy się w tył, spojrzałem na ten dom stojący ciągle, rysujący się szaro na tle białem wody. Babetta, skulona na środku tratwy, trzymała Marynię na kolanach i cisnęła do piersi jej główkę, by ukryć przed dzieckiem straszny widok; obie skurczone, przytulone do siebie, zmalały od trwogi. Giacomo stojąc na przedzie tratwy, opierał się całem ciałem o żerdź i rzucał na nas od czasu do czasu wzrok niespokojny, przelotny, potem znowu brał się w milczeniu do pracy. Pomagałem mu o ile to było w mej mocy, ale usiłowania nasze, by dobić do brzegu, były daremne.

Pomimo zanurzania żerdzi głęboko w muł, że mało nie pękły, prąd wody unosił nas ku środkowi. Jakaś siła zdająca się wydobywać ze dna, spychała nas w nurt coraz głębszy; wreszcie Adyga zapanowała nad nami.

Rozżarci walką, okryci potem, zrozpaczeni, szamotaliśmy się z rzeką, jak z istotą żyjącą, usiłując przemódz ją, ranić, uśmiercić. Ta dławiła nas swemi olbrzymiemi ramiony, a żerdzie zamieniły się w naszem ręku w oszczepy, które z wściekłością zatapialiśmy w jej sercu. Raniona wydawała groźny ryk i obryzgiwała nas pianą, wijąc się pod naszemi razami. Zacisnąwszy zęby odpieraliśmy jej przemoc, nie myśląc się poddać. Doprowadzeni do szaleństwa, próbowaliśmy powalić i uciszyć potwór siłą pięści. Tymczasem wypłynęliśmy na środek. Byliśmy już u wejścia do alei dębowej; czarne gałęzie pruły wodę i szarpały ją z wyciem żałosnem. Śmierć czyhała na nas może tu, przy pierwszem zetknięciu. Krzyknąłem na Giacoma, aby skierował w aleję i płynął wymijając gałęzie. I tak po raz ostatni płynąłem środkiem tej alei dębowej, w której weseliła się moja młodość. W tej strasznej nocy, po nad ryczącą przepaścią, widziałem piękne godziny mego życia uśmiechające się do mnie posępnie.

Na końcu alei Adyga zatryumfowała. Drągi nie dotykały już dna a pijana zwycięztwem swem rzeka, rwała nas dalej gwałtownie. W tej chwili mogła robić z nami co chciała; zaprzestaliśmy walki nadaremnej, tratwa sunęła z przerażającą szybkością.

Wielkie obłoki, podobne do szmat zbrukanych i podartych, snuły się po niebie, a kiedy księżyc skrył się poza chmury, zapanowała noc straszna, złowroga. Kolosalne bałwany, czarne jak smoła, podobne do ogromnych grzbietów rybich, rzucały tratwą wirując nią jak frygą. Nie widziałem już ani Babety, ani dzieci; śmierć straszna zazierała mi w oczy.

Nie wiem jak długo trwał ten wir. Naraz wyjrzał księżyc i cały widnokrąg się rozwidnił. Przy tem świetle dojrzałem naprzeciwko nas wał jakiś czarny, barykadujący nam drogę, ku któremu gwałtowność prądu pchała nas nieubła-

ganie. Zginęliśmy — za chwilę tratwa uderzy o brarykadę.

Babetta wyprostowała się i podała mi Marynię.

— Weź dziecko! — zawołała. — Zostaw mnie, zostaw!

Ale Giacomo pochwycił już Babettę i silnym głosem zawołał:

— Ojcze, ocal dziecko, ja matkę ocalę!

Czarny wał stał tuż przed nami; zdało mi się, że widzę na nim drzewo. Uderzenie było straszne; tratwa pękła na dwoje, wszystko z niej, słoma i deski posypały się w wir rzeki.

Wpadłem w wodę trzymając mocno Marynię. Zimna kąpiel wróciła mi całą odwagę. Wypłynąłem na wierzch z żywem dzieckiem, zarzuciłem je sobie na szyję i zacząłem płynąć mozolnie. Gdyby dziecko nie było w omdleniu, gdyby się poruszyło, poszlibyśmy na dno oboje.

Płynąłem, ale trwoga dławiła mi gardło. Przywoływałem Giacoma, zapuszczałem wzrok wdal, ale nie słyszałem nic prócz ryku fal, nie widziałem nic prócz sinej powierzchni Adygi. Giacomo i Babetta byli na dnie...

O czemuż nie umarłem z nimi!

Namacałem ręką ich ciała, ale w tejże chwili woda zalała twarzyczkę Maryni, szarpnąłem się i dobywając sił ostatnich, popłynąłem do brzegu.

Rzeka wyrzuciła mnie na żwir, jak wiązkę słomy puszczoną na wolę prądu. Kiedym przyszedł do siebie, spojrzałem na dziecię — żyło, otworzyło oczki. Na niebie świtało, ale dla mnie bez żony i syna słońca już nie było na niebie... Noc straszną ciągle mam przed oczyma.

# OBRAZKI CZESKIEGO ODRODZENIA.

Z LISTÓW I OPOWIADAŃ EDWARDA JELINKA.

(Ciąg dalszy.)

IV.

## Dom mieszczański u Halanku.

Jeżeli z staromiejskiego rynku praskiego skierujesz kroki przez wąską lecz niezmiernie ruchliwą ulicę Karóla na plac Betleemski, przewodnik nieomieszka tam zwrócić uwagę twoję na dwa miejsca. Wskaże ci, gdzie niegdyś stała sławna kaplica Husa i trochę dalej, gdzie stoi dom nazywany powszechnie »U Halanku.« Jednopiętrowa ta kamienica niezmiernie jest w Czechach znaną i szanowaną.

Nie zobaczysz olbrzymiego pałacu, tylko dom mieszczański z siedmiu oknami na froncie. Może tak przedstawisz sobie poczciwe gniazdo dawnych patrycyuszów naszego miasta, co życie prowadzili pełne przywiązania do miejsc, w których się urodzili.

Koniecznie pragnę ja cię wprowadzić do tego domu, nietylko dla tego, że podwoje jego gościom zawsze są otwarte, lecz dla tego głównie, że poza tymi progami poznasz typową postać czeską, otoczoną szczerym szacunkiem ziomków, umiejących oceniać życie obfite w zasługi.

Wchodzącego do domu »U Halanku« wita zaraz nad wejściem czeski napis: »Co srdce poji — morze nerozdvoji« (Co serce połączy — morze nie rozłączy).

Ale nim zapoznamy się z obecnym gospodarzem tego domu, pozwól mi powiedzieć choć kilka słów o jego matce, która również, dopóki żyła, najwięcej znaną i poważaną była w Pradze kobietą. Zresztą trudno nawet mówić o gospodarzu, panu Naprstku, aby nie przyszła na pamięć jego matka, której postać i ciebie zaciekawi niezawodnie.

Otóż Anna Naprstek urodziła się w Pradze roku 1788, gdzie i rodzina jej żyła w stósunkach bardzo, bardzo skromnych. Wojna zniszczyła mająteczek rodziny i ze śmiercią ojca, który zostawił chorą wdowę i drobne dzieci,

zajrzało w oczy ubóstwo. Nędza do tego doszła stopnia, że maleńka Anna własną pracą zdobywać musiała ciężki grosz na zaspokojenie opłaty szkólnej. Zrobiła ona dyrekcyi szkoły propozycyą, że w miejsce opłaty szkólnej będzie usługiwać nauczycielowi i zamiatać izby szkólne. W taki sposób młoda dziewczynka uczęszczała do szkoły od dziesiątego roku. Po wyjściu ze szkoły została u ciotki swej w młynach Helmowskich służącą, pracującą od rana do nocy. Ale służba ta była dalszym ciągiem nauki, nauki pracy i wytrwałości. W roku 1807 poszła za mąż, za Jana Nowaka, który był wówczas kelnerem w restauracyi pod »Złotym Aniołem«. Cały jej, zapracowany i przez lata składany oszczędnie posag wynosił 70 złr. i za te to pieniądze kupiła sobie ubiór ślubny, kilka sznurów czeskich granatów i obrazek święty.

Taki był początek i zasób jej gospodarczy. A jednak wśród szczęśliwego choć skromnego pożycia jakoś mienie ich rosło. »Pani mama« o godzinie szóstej zrana była już w kościele i potem przy boku męża do wieczora pracowała. Znaczna fortuna, do której doszła Naprstkowa, już wtedy początek swój brać zaczynała. Uczciwość i pracowitość — to była zasada, którą rządziła się niezmiernie wzorowa ta para małżonków. Jan Nowak umarł 1819 roku. Przeszło lat trzy; wdowa rządziła się samotnie, posiadając wtedy już browar, który pod jej osobistym kierunkiem i nadzorem rozwijał się znakomicie. W roku 1823 poszła pani Anna raz drugi za mąż, za Antoniego Fingerhuta, które to nazwisko zostało później zmienione na czeskie »Naprstek«. Nowa para nabyła wkrótce (1826 r.) browar w miejscowości zwanej »U Halanku« i ztąd potem szlachetną matronę nazywano ogólnie »starou pani Halanku.«

Ognisko rodzinne, jakie tu założonem zostało, było i jest do dziś dnia jednem z najulubieńszych w Pradze w znaczeniu narodowem. Tam to przez długie lata dzielna kobieta była matką ubogich i uczynną kobietą w najpiękniejszem znaczeniu tego słowa. W każdy Piątek dom Anny Naprstek był otoczony tłumem ubogich, a nikt nie odchodził nigdy od jej progu z pustemi rękami: każdy co najmniej dostał bochenek chleba, i liczba rozdawanych w Piątek chlebów dochodziła do 2000! Prawdziwą już matką i opiekunką była pani Anna dla druciarzy, których bardzo wielu napływało wtedy do Pragi ze Słowacyi.

Mądra ta pani wiedziała niemniej, że jest dużo bardzo ubogich, którzy wstydzą się prosić o jałmużnę. Więc i o takich nie zapomniała, sama ich wyszukiwała. Jednym dawała stałe pensye, drugim płaciła za mieszkanie, dostarczała odzieży i t. d. Biedni studenci miewali u niej obiady, starała się również i o duchową strawę, o rozrywkę, zabawę dla ubogiej młodzi. Sam raz za lat moich chłopięcych byłem uczestnikiem wycieczki, urządzonej staraniem »pani mamy« w Halanku i nie zdołam powiedzieć, jakie wrażenie wywarło na mnie to dobrodziejstwo.

Paręset chłopców z bębnami i chorągwią (wszystko to dostarczyła swoim kosztem pani Naprstek) wyruszyło na »Cibulkę«, gdzie w prześlicznej okolicy czekało już wszystko przygotowane dla nas. Urządzono nam tam najrozmaitsze zabawy, dano przytem jeść i pić, zachęcano serdecznie do wesołości i śpiewu. Pewny jestem, że niejeden, kto tam był z nami, liczy chwile owe do najmilszych w życiu, bo obok synów zamożniejszych rodziców znajdowali się także biedacy i sieroty. Nie dziw więc, że pani Annie i najmłodsze też pokolenie nieraz hucznymi okrzykami życzyło »sława.«

Niemniej na sercu leżały tej kobiecie sprawy czysto narodowe. Czy nie jest tego świetnym dowodem, że kiedyś służąca w młynach Helmowskich, staruszką będąc, uczyniła zapis 150.000 złr., które ostatnią swą wolą przeznaczyła na założenie »Czeskiego muzeum przemysłowego?« — W dziejach czeskiej dobroczynności niema zbyt wiele przykładów podobnej ofiarności, a przecież nie jest to fakt odosobniony i pojedyń-

czy, lecz w domu »u Halanku« lewa ręka nie wiedziała co czyniła prawa.

Tak jest i dziś.

Z pamiątką »pani mamy«, która umarła 1873 roku, ściśle była złączona postać jej syna Wojciecha, który objął po niej browar. Umarł ten dzielny i gorliwy mąż w zeszłym roku.

Postać to była na wskroś dziwna w najszlachetniejszem znaczeniu tego słowa. Człowiek to niezwykle ruchliwy i pojmujący zadanie swoje wśród społeczeństwa. W politykę bawił się mało; nawet trudno powiedzieć, do jakiego należał stronnictwa. Miał on swoje poglądy i zasady, które czasami oddalały go od zasad tego lub owego stronnictwa, lecz zawsze umiał on zachować sobie między ludźmi różnych stronnictw nieoceniony i w dzisiejszych okolicznosciach tak rzadki mir, że każdy człowiek w Czechach, co choć trochę ma do czynienia z publicznem życiem, zazdrościć mu tego musiał. Otaczał go ogólny szacunek, powiedziałbym nawet jakaś nietykalność. Szacunek ten zaś ma dla tego prawdziwą wartość, że był szczery, a szczery był, ponieważ zasługi Naprstka cechowała zawsze prawa, własną osobę na bok usuwająca chęć służenia ogólnemu dobru.

P. Wojciech przeżył najważniejsze epoki naszego narodowego życia, w którem miał od lat najmłodszych udział jak najżywszy. Pobierał nauki w gimnazyum staromiejskiem, gdzie w tymże czasie był profesorem znakomity uczony i patryota czeski Jungmann, który się około języka zasłużył podobnie jak nasz polski Linde. Następnie słuchał filozofii na uniwersytecie prażskim, wówczas naturalnie niemieckim, aż w roku 1846 przeszedł na wydział prawny do Wiednia. Już wtedy był czynny, porywając słuchaczy publicznemi mowami i pisując rozmaite artykuły do Wczety redagowanej wtedy przez Karola Havliczka, najdzielniejszego pisarza czeskiego w sprawach publicznych. Burzliwe przejścia 1848 r. zmusiły go opuścić na czas dłuższy kraj. Udał on się do Ameryki, zkąd dopiero po latach wrócił z bogatym zasobem praktycznych doświadczeń i poglądów. Syn zamożnej matki pracował z początku w Nowym Jorku jako prosty robotnik w fabryce, potem w Nowym Londynie, jako robotnik kamieniarski i jako stolarz, ale przekonawszy się, że już przebył wiek kształcenia się w kierunku rzemieślniczym i nadto otrzymawszy od matki z Czech zapas pieniędzy, w Milwaukee założył księgarnię, złączoną następnie z handlem papieru i instrumentów muzycznych, z Czech pochodzących.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# OBJAŚNIENIA RYCIN.

**Ks. Ignacy Polkowski** był jednym z najuczeńszych historyków polskich. Urodzony w roku 1833 poświęcił się służbie Bożej. W roku 1857 wyświęcony na księdza był przez dłuższy czas proboszczem w Łaznowie w archidyecezyi warszawskiej. Po roku 1863 przeniósł się do Księstwa Poznańskiego, gdzie zamieszkał w Lubostroniu pod Łabiszynem. Przyczynił się najwięcej do stwierdzenia, że Kopernik, sławny astronom, który dowiódł, że nie słońce naokoło ziemi, ale ziemia naokoło słońca się obraca, był Polakiem z urodzenia i przekonania. Wydał rozmaite druki, dotyczące Kopernika. W roku 1878 został członkiem-korespondentem akademii krakowskiej. Z pomiędzy licznych prac jego zasługują na uznanie: »Wspomnienie o życiu i pismach księdza Karóla Antoniewicza,« »Groby i pamiątki polskie w Rzymie,« »Żywot Mikołaja Kopernika«, »Kopernikiana, czyli materyały do pism i życia Mikołaja Kopernika«, »Katedra gnieźnieńska«, wydanie wspaniałe.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp. w zast.: **D. Kowalski** w Bytomiu.

# ŚWIĘTY FLORYAN,

PATRON OD OGNIA.

Postać św. Floryana, jednego z naszych Patronów, bardzo często spotkać można w świątyniach, w chatach wiejskich, na obrazach i wizerunkach, a także przy drogach, jako figury z drzewa ciosane dłonią artysty z pod słomianej strzechy. Kościół każe przedstawiać tego Świętego w stroju dowódzcy legionu rzymskiego, z chorągwią w jednej ręce a w drugiej z naczyniem, z którego wodę leje na palący się dom; także oznaką jest kamień - młyński (»Ikonografia chrześciańska« przez ks. A. Brykczyńskiego).

Wszystkie te godła mają znaczenie, św. Floryan bowiem dowodził oddziałem wojska za czasów Deoklecyana i Maksymina; jako wyznawca Chrystusowej nauki pozyskał koronę męczeńską, której pragnął gorąco. Gdy sam się oskarżył, że jest chrześcianinem, wielkorządzca Laureaku, Akwiliniusz, jeden z najzawziętszych prześladowców wiary chrześciańskiej, wydał go na okrutne męki, a widząc, że męczennika nie zdoła skłonić do bałwochwalstwa, rozkazał go utopić w rzecze Anizus. Św. Wincenty Fereryusz opowiada, że męczennik szedł na spotkanie śmierci z radością; gdy stanął na moście, kaci uwiązali mu do szyi kamień młyński, a sługa Boży prosił aby się mógł na chwilę pomodlić. Zgodzili się na to poganie. Męczennik wpadł w zachwycenie, które długo się przeciągało; jeden z katów, zniecierpliwiony przyskoczył do niego i zepchnął do rzeki ale natychmiast dotknęła go kara Boża: pękły mu oczy i wypłynęły ze strasznym bólem. Martwe ciało Świętego wyrzucone zostało na brzeg, gdzie strzegł go wielki orzeł przez kilka dni, dopóki pobożna niewiasta, imieniem Walerya, idąca za głosem z nieba, w miejscu bezpiecznem męczennika nie pochowała.

W dziewięć wieków potem, w r. 1183, Kazimierz, syn Bolesława Krzywoustego, pragnąc mieć relikwie jednego ze Świętych Męczenników, wyprawił do Rzymu do Ojca św. Lucyusza III, posłów z usilną o to prośbą. Życzeniu pobożnemu zadość uczynił Papież i przez Epidyusza, biskupa Maryańskiego wydał kości św. Floryana, które Kazimierz przyjął ze czcią wielką, wyszedł naprzeciw nich o siedm mil za Kraków i stamtąd, wciąż pieszo idąc, z procesyą duchowieństwa i ludu, do miasta wprowadził. Święte relikwie umieszczono na Kleparzu, gdzie Kazimierz pod wezwaniem św. Floryana kościół wybudował, zaopatrzywszy go na wieczne czasy w znaczne dochody.

Obecnie w tym kościele znajduje się tylko ramię męczennika, gdyż resztę jego szczątków przeniósł Kazimierz do kościoła na Wawelu.

Św. Floryana uważamy jako osobliwego Patrona przeciw klęskom ogniowym; mieszkańcy Krakowa wielokrotnie cudownej jego opieki pod tym względem doznali.

Lud do przeniesienia zwłok św. Floryana z Rzymu następującą przywięzuje legendę: Gdy Papież zapytał zwłok ŚŚ. Wawrzyńca i Szczepana, czy chcą, aby je pogrzebano nad Wisłą, te odwróciły się; dopiero św. Floryan dał ręką znak przyzwolenia. Również sam Święty wskazał miejsce, gdzie ma stanąć kościół pod jego wezwaniem, zatrzymując na kleparzu wóz, który wiózł jego zwłoki.

Z dawnych baszt krakowskich, po zburzeniu ich, pozostawiono tylko bramę Floryańską, jako ciekawy zabytek budownictwa; kroniki opowiadają, że w r. 1528 ukazała się w tej bramie Matka Boska.

Nowy kościół wznoszony na Pradze, przedmieściu Warszawy, został poświęcony św. Floryanowi. Będzie to świątynia wspaniała, gdy ofiary pobożnych dozwolą wykończyć ją podług planów pierwotnych.

Dawniej figury świętego patroną od ognia strzegły granic wsi miast i miasteczek; postać jego umieszczano także na froncie domów mieszkalnych i śpichrzów; niektóre towarzystwa ubezpieczeń przyjęły ją za symbol opatrzności dla tych, którzy wierzą i czuwają.

# Jak w pierwszej chwili spieszyć z pomocą

## poparzonym w ogniu i topielcom.

Jeżeli skutkiem nieostrożności własnej, lub innym wypadkiem, odzież zajmie się płomieniem, należałoby rzucić się na ziemię i tarzać, by zdusić płomienie. Ale niestety tak się nie dzieje. Nieszczęśliwa ofiara traci w trwodze przytomność, zrywa się z krzykiem i bez pamięci pędzi, ani się domyślając, że pęd ten właśnie podnieca ogień, który też niebawem zewsząd uciekającego ogarnia i w słup ognisty go zmienia.

Jak w takim wypadku ratować? Zamiast, jak zwykle, lecieć po wodę, należy złapać pierwszą lepszą kołdrę lub zdjąć surdut własny i zarzuciwszy to na uciekającego, obalić go na ziemię i toczyć aż do zaduszenia płomienia. Potem dopiero pobiedz po wodę i zlać go tak dokładnie, by suchej nitki na nim nie zostało.

Następnie przenieść należy poparzonego do ciepłego pokoju, położyć na ziemi na dywanie, albo na stole, a nie na łóżko, w którem gdy leży, trudno się około niego obracać — wreszcie zawezwać lekarza. Jeżeli pacyent skarzy się, że ma pragnienie dać mu gorącego

podniecającego napoju, herbaty albo groku; przy silniejszem bowiem poparzeniu temperatura ciała bardzo prędko zaczyna się obniżać.

Teraz przedewszystkiem należy go oswobodzić z odzieży, przyczem postępować trzeba z największą ostrożnością. Najlepiej zabrać się do tego we dwie osoby, z których jedna staje po drugiej stronie poparzonego, a druga zajmuje się zdejmowaniem ubrania.

W tym celu należy wziąść dobre nożyczki duże albo ostry nóż i poprzecinać ostróżnie wszystkie części ubrania, by same przez się opadły. Niczego nie można ściągać ani zdzierać, by bąblów nie porozrywać. Jeżeli jaka część odzieży trzyma się silnie skóry, nie należy jej oszczędzać, ale okrajać dokoła oparzeliny nożyczkami lub nożem i tak pozostawić. Nóż winien być ostry, tępe powiem narzędzie sprawia choremu straszliwe beleści. Żadnego bąbla ani pryszcza nie zrywać, zwierzchnia bowiem warstwa skóry tworzy najlepszą ochronę dla obnażonej spodniej. Co najwyżej, jeżeli bąble bardzo są nabrzmiałe, przekłuć je można szpilką, by woda z nich wyciekła.

Jeżeli niema jeszcze lekarza, to najpilniej zająć się należy ochronieniem miejsc popalonych od wpływu powietrza. Pamiętać trzeba, że okłady zimną wodą zwiększają w tym wypadku boleści. O wiele stósowniej posmarować skórę tłuszczem, oliwą, lub posypać czem suchem, wpływa to wiele na złagodzenie bólu.

Można więc oblać oparzeliny olejem do lamp, sałatowym, rycynowym, lub jaki jest pod ręką, albo nasmarować je tłuszczem, sadłem, masłem, lub wreszcie obsypać krochmalem, proszkiem węglowym, solą Bullricha i owinąć starannie czystą, dartą watą, z której poprzednio zedrzeć należy warstwę wierzchnią, kleistą. Jeżeli apteka nie daleko, posłać po maść z lnianego oleju i wody wapiennej, której kilka kropel napuścić na rany i obłożyć je watą lub cienkiem płótnem.

Przekonano się, że opisane przez nas poprzednio postępowanie antyseptyczne i na oparzeliny bardzo jest skuteczne.

Wydzielająca się z nich w wielkiej obfitości ropa, nabiera wkrótce bardzo przykrego odoru, co nietylko udręcza wielce chorego, ale naraża go jeszcze na wszystkie niebezpieczeństwa ropienia. Dobrze jest więc podane wyżej środki mięszać z jakąkolwiek antyseptyczną substancyą np. kwas karbolowy z oliwą. Operacya ta już wymaga obecności lekarza. Kwas karbolowy ma to do siebie, że niszczy przykry odor i ból łagodzi.

A jak ratować topielca? Przedewszystkiem należy położyć go na brzuchu w położeniu prawie poziomym. Skoro odda połkniętą wodę, należy naciskać mu na grzbiet, by przywrócić ruchy płuc, które jak wiadomo podobne są zupełnie do podnoszenia się i ściągania miecha. Potem obraca się topielca i układa na boku, głową wyżej nieco niż nogami poczem naciska się lekko na jamę brzuszną, podnosi i opuszcza powoli ramię, by przywrócić płucom a następnie i sercu ich ruchy normalne.

Jeżeli topielec pozostawał pod wodą sześć lub ośm minut, to w wyjątkowych tylko razach przywrócić go można do życia. Wiadomo bowiem, że najzręczniejszy nurek nie może przebywać dłużej nad dwie minuty pod wodą.

## Praktyczne rady.

— **Przechowywanie soków owocowych.** Wyciśnięty świeżo sok, z jakichkolwiek owoców, z dodatkiem cukru lub bez, pomięszać z mąką i upiec z mięszaniny twarde ciasto, które długo przechować można. Do użytku tłucze się ciasto w moździerzu lub miele, i z mlekiem gotuje się rodzaj bardzo smacznej i zdrowej zupy. Mąkę ową można także dodawać do potraw, które wymagają soku owocowego.

— **Przesyłanie świeżych kwiatów.** Na dnie skrzynki rozpościera się warstwę świeżego, wilgotnego mchu, wsadza w niego kwiaty i przykrywa drugą warstwą mchu. Jeżeli jeszcze owinie się każdy ogonek wilgotną bibułą, kwiaty mogą bez żadnej szkody odbyć dłuższą podróż.

— **Usuwanie nagniotków.** Zastarzałe i bolące nagniotki usunąć można łatwo sposobem niekosztownym: Kupuje się za kilka groszy z apteki łoju kozłowego i ugniata się go z proszkiem kredy oczyszczonej tak, żeby mięszanina utworzyła masę jednolitą, którą należy okładać nagniotki na noc. Po tygodniu odcisk będzie się łupał bez bólu a jeźli nie przestaniemy przykładać maści, zniknie po kilkunastu dniach zupełnie.

## Rozmaitości.

* **Grę w domino** wynalazło dwóch zakonników benedyktyńskich z Monte-Cassino. Ponieważ reguła nakazuje im milczenie wpadli na myśl układania kwadratowych kamyków, oznaczonych pewną ilością kropek. Układano je w rozmaitym porządku, a wygrywający oznajmił zwycięstwo partnerowi, wymawiając pierwsze słowa psalmu: »Dixit Dominus domino meo.« Nowa gra rozpowszechniła się po za murami klasztoru i z powodu słów psalmu, nazwaną została »Domino«.

* **Turcya** już w roku 1876 ogłosiła bankructwo; po zawarciu układów z wierzycielami, przyznano im prawo pobierania niektórych dochodów państwowych, tytułem procentów. Turcya winna jest jeszcze Rosyi rs. 200,000,000, jako kontrybucyę wojenną. Finanse Portugalii są w opłakanym stanie, deficyt w

ostatnim roku wynosił 10,000,000 rs.; dług narodowy obciąża każdego mieszkańca w ilości 200 rs. Król w r. 1892 poświęcił piątą część listy cywilnej na rzecz skarbu. W nie lepszem położeniu jest Rumunia. Grecya straciła wszelki kredyt europejski. Finanse państw i państewek bałkańskich, jak Serbia i Czarnogórze, także są w opłakanym stanie. Hiszpania jest bardzo zadłużona i zubożała. Włochy wydają takie sumy na armią i flotę, że niebawem spotka je los Turcyi. W Wielkiej Brytanii dług narodowy zmniejsza się, we Francyi wzrasta.

* **Ślubna zasłona** oblubienicy w Europie musi być koniecznie białą; stanowi ona symbol czystej duszy; w Persyi, ślubny welon bywa zwykle szkarłatny, w Bucharze różowy. Zasłona panny młodej w Turcyi jest z brokateli przetykana złotem i srebrem, oraz ozdobiona drogimi kamieniami. Rzymskie narzeczone nosiły welony żółte.

* **Jakie są korzyści ślepoty?** Utrata wzroku jest strasznem nieszczęściem, a jednak kalectwo to nie jest bez pewnych korzyści dla osoby niem dotkniętej: inne zmysły doskonalą się i dochodzą do nadzwyczajnej czułości, inteligencya się rozwija, umysł staje się głębszym. Między niewidomymi, nie spotyka się prawie wcale indyotów i waryatów. Jeżeli chcemy zastanowić się nad czemś i natężyć uwagę, przymykamy oczy, wytwarzając w ten sposób sztuczną ślepotę. Malebranche ilekroć miał do rozwiązania jakie ważne zagadnienie, kazał zamykać okiennice. Demokryt, jak niesie podanie, wyłupił sobie oczy, żeby nic mu nie przeszkadzało w filozoficznych dumaniach. Niewidomi mają zwykle znakomitą pamięć; w Japonii, ślepcom powierzają opowiadanie wielkich wypadków dziejowych. U osób pozbawionych wzroku, zmysł dotykania posiada nadzwyczajną wrażliwość; pewien ociemniały w Hanowerze palcami czytał książki drukowane na chropowatym papierze. Są niewidomi, którzy przez dotknięcie rozpoznają kolory.

Geniusz potrafi tryumfować nawet nad kalectwem, dowodem tego matematyk Saunderson, który przy pomocy szpilek dokonywał najtrudniejszych obliczeń, rozwiązywał najzawilsze zagadnienia i objaśniał prawa rządzące gwiazdami. Huber, niewidomy przyrodnik i filozof, zbadał życie i obyczaje pszczół. Dawidson wynalazł sposób przewietrzania największych kopalń węgla. Niejeden artysta, uczony lub poeta, naprzykład Milton, Sebastyan Bach, Wincenty Pol i Szajnocha, straciwszy wzrok, nie zaprzestał jednak tworzenia.

* **Wiadomo**, że raki mają kolor brunatny i dopiero gotowane stają się czerwonymi, gdyż ciemny barwnik, zawarty w ich skorupie, rozpuszcza się we wrzącej wodzie i wówczas występuje wyraźnie kolor czerwony. W strumieniu koło Solothurn istnieją raki czerwone zwane rubinowemi, pozbawione ciemnego barwnika; natomiast w kilku górskich jeziorach sabaudzkich pojawiają się raki, które nawet po ugotowaniu nie zmieniają koloru; każdy zabiera się do nich z niedowierzaniem, wyobrażając sobie, że są nieugotowane.

* **Niejeden znakomity człowiek** należał do cechu szewców, których patronem jest św. Kryspin. Sławny niemiecki poeta z XV wieku, Hans Sachs, był szewcem w Norymberdze, co mu nie przeszkadzało oddawać się poezyi. Winkelmann, znakomity archeolog i estetyk, w młodości także miał do czynienia z szydłem i dratwą. Linneusz, wielki botanik, uczył się tak źle w gimnazyum, że rozgniewany ojciec, który z syna chciał zrobić pastora, oddał go do szewca. Dawid Parkus, profesor teologii, także zaczął swój zawód od szycia butów. W Anglii należało do tego cechu kilku uczonych pisarzy, jak John Brandt, Holcroft, Prendall, oraz dwóch poetów: Bloomfield, który do końca życia nie porzucił rzemiosła i Gifford, z początku uczeń okrętowy, potem szewc, wreszcie poeta, redaktor i założyciel pisma Quarterbly Review. Amerykański mąż stanu, Roger Shermann, za młodu szył buty. Z cechu szewskiego wyszedł nawet jeden Papież, Urban IV, syn szewca, urodzony w Troyes. Synem szewca był Jakób Rousseau; poeta Sellier i matematyk Rigault również zaczęli od szydła i dratwy.

* **W okolicach Syrakuzy**, nad rzeką Anapo, najpiękniejszą z rzek sycylijskich, o wodach błękitniejszych od habru, rośnie wielki las papierusów, jedyny w Europie. Papierusów dostarczał wyłącznie Egipt.

* **Biblioteka** uniwersytetu w Getyndze posiada Biblię pisaną na liściach palmowych; jest w niej 5,376 stron, tyle ile liści. U chrześcian w Travankorze, których liczba wynosi 100,000, wszystkie pieśni, modlitwy i opowiadania z Pisma świętego, kreślone są na liściach palmowych. W świątyni Juggernaut, w archiwum bramińskiem, znajduje się historya Orissy, pisana na liściach palmowych, żelaznem piórem, bez atramentu. Najdawniejsze rękopisy sanskryckie składają się z liści palmowych.

* **Sześć palców** u ręki nie jest wielką rzadkością: znajduje się ogółem 2,173 ludzi, tak hojnie przez naturę obdarzonych; z siedmioma palcami jest tylko 431 ludzi.

## ŻARTY.

— Mój drogi, jabym chciał raz wiedzieć dokładnie, co to jest ta inteligencya miejska?

— Wiesz, to niby my, to jest... tacy, co w drugiej połowie miesiąca nie dojadają.

---

— Mojsze, czy ty już szlachcicem?

— Nie, ja dopiero posesor, a jak zbankrutuję, nu, to wtenczas kupię sobie wiesz.

---

— Aronku, zlituj się, daj trochę monety, tamten pan ręczy za mnie.

— Nu, a kto za tamtego pana ręczy?

— Ja ci ręczę za niego!

— Nu, to git gescheft. Panowie mają już tyle poręków, że nie potrzeba pieniądzów.

---

— Maciek, prawda, że to dobrze tak, bez cały tydzień nic nie robić...

— Albo to człowiek do roboty stworzony, czy co? Józek powiada, naj kapitalista sobie pracuje! Józek to mądry chłop!

*Przezorność.*

— Powiedz mi Moszku, czy to prawda, że synalek mój pożycza od ciebie na 50 procent?

— A prawda, bo widzi pan, żal mi było panicza, na co on ma wpaść w ręce lichwiarskie.

*Przy zgodzie służącego.*

— Jak się nazywasz?

— Albo ja wiem?

— Jakto nie wiesz, jakże na ciebie wołali w poprzedniej służbie?

— Jasny pan wołał durniu, jasna pani ośle, a jasny panicz, jak był w humorze, to wołał błaźnie, a jak był bez humoru, to nic nie wołał, ino za łeb ciągnął.

## ZAGADKI.

1.

Ojciec dał swemu synowi do rozwiązania 30 zadań z warunkiem, że za każde rozwiązane zadanie da mu po 5 orzechów, za każde zaś nierozwiązane zadanie potrąci po 3 orzechy. Ileż zadań rozwiązał syn, jeżeli otrzymał od ojca 70 orzechów?

2.

| | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| W | żni | da | po | dze | da | niu |
| gnie | wo | je | wa | go | w | pra |
| nie | w | ka | go | sza | ja | gło |
| dzie | przy | o | przy | dzie | ciel | w |
| so | żo | czy | do | po | na | po |
| na | czci | ża | ne | rze | wa | lo |

Zgłoski w powyższym czworoboku należy tak poukładać, aby całość tworzyła piękne przysłowie polskie. Dla ułatwienia rozwiązania radzimy brać po dwa rzędy.

3.

Pierwszą, drugą odwrotną i czwartą znajdziecie,
Jeżeli poszukacie w każdym alfabecie.
Pierwsza i trzecia, ptaki pięknie upierzone,
W klatce tylko czasami zwiedzą naszą stronę;
Całość dobrze nam znana, chociaż leży daleko,
Za morzem, za górami, za dziesiątą rzeką.



Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu.